

Skompromitowana! A wtedy... wtedy. Stobiński jest cierpliwy i umie czekać!

Dzika radość wstrząsnęła nim. Zmajażyła mu znowu nadzieję zdobycia pięknej i tak namiętnie pożądaney dziewczyny.

Józia, kiedy wsiadła do wagonu, poprosiła konduktora, aby jej wskazał przedział dla kobiet.

Zaledwie jednak spróbowała odsunąć drzwi „damskiego” schronienia, pasażerki, które się tam poprzednio wygodnie i szeroko zagospodarowały, podniosły taki pisk protestu, że postanowiła zrezygnować z roli intruza w tym „damskim” raj.

W ogólnym przedziale znalazła jakieś miejsce pomiędzy starym górale, który palił fajkę, spluwając co chwila i żydem z pejsami, w brudnym, zatłuszczonym chałacie. Naprzeciw Józii siedziały dwie kobiety, ubrane po miejsku, ubogo. Obie odznaczały się charakterystyczną dla zbiedzonych i troskami znękanych kobiet, żółtością cery i głębokimi zmarszczkami koło ust. Jedna z nich, młodsza i przystojniejsza, trzymała na kolanach dziecko, które przytuliwszy bladą, mizerną buzię do ramienia matki, spało.

Przedział był słabo oświetlony i tonął w półmroku, nie na tyle jednak, aby można było nie spostrzedz, że doki podłogi są brudne, złocone i oplute i że walają się po nich kawałki papieru, skorupki jaj i wogóle różne śmieci i odpadki.

Powietrze przesycone było wonią najtańszego tytoniu i odorem potu ludzkiego. Kiedy indziej byłaby się Józia może wzdrgnęła z obrzydzenia, albo przynajmniej skrzywiła z niezadowoleniem, ale ostatecznie po pewnym czasie wdałaby się z towarzyszami podróży w swobodną, może nawet serdeczną gawędę. Dzisiaj jednak nic ją nie raziło i nic nie obchodziło. Nie miała ochoty ani patrzeć, ani słuchać, ani mówić, ani nawet myśleć. Cuciła tylko jechać, jak najprędzej jechać!

Nareszcie pociąg z głośnym gwizdem ruszył. Dziecko, które trzymała na kolanach sąsiadka Józii, zbudzone tym hałasem, rozplakało się. Matka zaczęła je huśtać na rękach i uspokajać.

— Cicho, cicho, mój robaczku! Moja biedota!.. Do tatusia jedziemy... do tatusia! Ot, płacze, bo słabutkie, mleko teraz od święta chyba widzi — zwróciła się do siedzącej obok niej kobiety.

— Że też to pani taką kruszynę w drogę zabiera — zauważyła tamta.

— Do męża z niem jadę. Przy trzynastce służę w Nowym Sączu, do pola odjeżdżać ma... Przy kimże je zresztą zostawię. Niech i ono zobaczy ojca... niech i ono się ucieszy! Może ostatni raz... Cicho, Staszku, cicho śpij!

Łzy zabłyśły w oczach kobiety i stoczyły się po jej przedwcześnie zwiędłych policzkach.

— Niechże pani sobie tak do głowy nie przewiera! Niejeden idzie i nic mu... Trzeba Bogu ufać!

— A ileż ten mały ma?

— Dwa lata mu minęło w sierpniu.

— O, to malutki jeszcze na ten wiek!

— Jakże niema być malutki i słaby, kiedy to ani mleka, ani kaszki, ani jajka, ani czego! I dostać trudno, a choćby kupić można, to mam to pieniądze? Pięćdziesiąt cztery korony zasiłku... to z tego i mieszkanie opłacić i wyżywić się i obuj siebie i dziecko...

— Czemż jakiej roboty pani nie poszuka, albo służby?

— Dziecka nie mam przy kim zostawić. Pranie do domu biorę, ale co to za zarobek, kiedy mydło takie drogie! A pani daleko jedzie?

— Pod Kalwaryę, moja pani! Mam tam rodzinę, to sobie może coś nie coś ze wsi przywiozę. Mam to ja czas i zdrowie w ogonkach stać po pół dnia albo i pół noc?

— Oj, prawda! Bieda, to bieda! Ciężko, widać, ludzie zgrzeszyli, kiedy teraz cierpieć muszą!

— Nie wszyscy! — sarknęła jakaś inna kobieta, staranniej i całą czarno ubrana. — Są tacy, co na ludzkiej krzywdzie brzuchy pasą i kabzy nabijają!

— Oj, są!...

— To są czasy, żeby takie czasy nigdy nie było — wtrącił się do rozmowy żyd.

— Wy tam, żydy, najwięcej wiecie, co to bieda! Widział kto kiedy żyda, albo żydówkę w ogonku? Wy tylko pieniądze zbijacie i naszą biedą się bogacie! — ozwała się ostro kobieta w czerni.

— O! To prawda — ozwał się ktoś.

— Prawda, prawda! — przytakiwano.

Jakiś prąd niechęci przebiegł przez to skłopotane zbiorowisko ludzi.

— Co pani chce odemnie? — bronił się żyd — ja się nie bogacę, ja dużo stracił. Maie syn w interes pomagał, teraz to on przy wojsku. On już we Wiedniu dwa lata służy!

— To ci daleko! We Wiedniu!

Stary góral, który milczał dotychczas, wytrzymał popiół z fajki na ziemię i odezwał się powoli, dobitnie, wymawiając każde słowo:

— Ja pięci młolek synów, a teraz nimom żadnego. Sam na gospodarce ostatek... Dwóch zginęło, dwóch przy „jelfonteryji”, a piąty najmłodszy, co mu szesnoście rokóć było, przy „legonach”.

— Czemżeście pozwolili iść?

— Jak nie zezwolić, kiedy na Polskę zaklinał! „Pódem i pódem, tatusiu!” Taki patry-o-ta!

Słowo „patryota” błędnie wymawiał, ale znać było, że dobrze rozumie i głęboko czuje jego znaczenie.

— Tak, wszyscy mówią, że z tego będzie Polska.

— Będzie, musi być! — przyświadczył twardo, tonem niewzruszonej pewności góral.

— A czy się to kto Polską odzieje, albo nakarmi — wtrąciła znowu kobieta w czerni, widocznie bardzo zgryźliwie, żółciowo usposobiona.

— Tak, pani, nie powiadajcie, bo to grzek i wstyd — skarcił ją stary gazda.

— A skąd wy, panie gospodarz, jesteście? — wtrącił się znowu do rozmowy żyd.

— A od Czarnego Dniajca.

— A jakki to tam u was dużo jest?

Te i tym podobne rozmowy obijały się o uszy Józii, ale nie wnikały do jej świadomości. Słyszała pojedyncze słowa, ale nie wiązały one się dla niej w żadną całość. Oparła się o twardą poręcz ławki, głowę na piersi pochyliła i snuła nic półsennych marzeń.

Stobińskiego nie zauważyła na stacyi, to też nie miała pojęcia, że jedzie on tym samym pociągiem.

— — — — —

Zakopane!

Donośny głos konduktora obudził Józję ze snu, w który zapadła, ukołysana jadałym łoskotem pociągu i wyczerpana kilkogodzinną jazdą. Szybko zerwała się z ławki i przetarła oczy. W przedziale prócz niej nie było już nikogo. Przez okno zaglądał szary świt.

— Zakopane... nareszcie!

Pospiesznie wyskoczyła z pociągu. Owiało ją mroźne tchnienie górskiego przedziwnego poranku. Otuliła się szczelniej swoim płaszczkiem i, drżąc z zimna, weszła do poczekalni.

Było tam pusto i także zimno, ale zawsze trochę cieplej, niż na dworze. Jedna lampa naftowa z okopconem szkłem oświetlała poczekalnię, mieszając swój mdły blask z szarzystą świtu, który leniwie sączył się poprzez szklane drzwi.

Józia spojrzała na zegarek. Wskazywał dopiero godzinę szóstą. Dziewczyna zrozumiała, że o tak wczesnej porze nie może iść do Żarnickiego i że trzeba czekać jeszcze.

Żeby się rozgrzać trochę, zaczęła szybko chodzić po poczekalni. Podczas tej przechadzki spojrzenie jej padło na taflę lustra.

Przystanąła dopiero teraz z przestrachem, zauważyła, że wygląd jej pozostawia dużo do życzenia.

Twarz przybrudzona pyłem, poczerwiona nawet w kilku miejscach sadzą, włosy rozczochrane, płaszczk zmięty, buciki i sukienka obłocone.

Tak przecież nie może pokazać się Konradowi! Szybko zakrzętała się, aby choć trochę zetrzeć śladów tego zaniedbania.

Znalazła kran z wodą, zmyła z twarzy pył i sadzę, używając chusteczki do nosa zamiast ręcznika. Potem rozpuściła swoje bujne włosy i z pewnym trudem uczesała je grzebieniem, służącym do podtrzymywania fryzury.

Zdęła płaszczk, wygładziła go jak mogła i starała się rękami wykruszyć błoto z sukni i bucików.

Kiedy już jako tako doprowadziła do porządku swoje ubranie, włożyła znowu czapeczkę i zawiązała woalkę. Dłużej i uważniej przyjrzała się teraz sobie w lustrze.

Stonstatowała, że bardzo źle wygląda. Jest blada, oczy ma podsiniałe i wargi spękane.

— Co Konrad powie, jak mnie taką zobaczy? Może wydam mu się brzydszą, niż dawniej?

Nagle uśmiechnęła się szczęsnym uśmiechem kobiety zakochanej i ufnej.

Wspomnienie przyniosło jej echo słów dobrych, serdecznych: „Tyś dla mnie zawsze ładna, Józio.”

— Moje uszanowanie pani! — zabrzmiał poza jej plecami głos męski, na dźwięk którego drgnęła przerażona.

Owróciła się i cofnęła o krok. Zdało się jej, że jest ofiarą majaczenia gorączkowego.

Przed nią, jak najśłodziej uśmiechnięty, z czarnym „melonikiem” w ręce, stał Stobiński.

— Moje uszanowanie! — powtórzył — Pani tak sama?

Józia zrozumiała, że to rzeczywistość, że to

istotnie Stobiński stoi przed nią i przypatruje się jej chytrze i badawczo.

Boże! Żeby tylko nie zdradzić się przed nim!

Świadomość niebezpieczeństwa wróciła Józii przytomność umysłu.

Podąła Stobińskiemu rękę uprzejmie, niżby to w innym wypadku uczyniła i odpowiedziała pospiesznie:

— Przyjechałam do kuzynki pani Walczakowej. Ma ona tutaj pensjonat.

— I nikt pani nie oczekiwał?

— Nie wiedzieli, że tym pociągiem przyjadę. Zapomniałam zatelegrafować.

— Może dopomóż pani przy odebraniu rzeczy?

— Nie! Dziękuję. Rzeczy przyjadą dopiero następnym pociągiem.

Kłamała bardzo niezręcznie i czuła, że Stobiński jej nie wierzy.

Jego uporczywe spojrzenie, wzrok jadowitego węża, hipnotyzującego swoją ofiarę, mieszał ją, trwogą napędniał, a jednocześnie zaczynał się w niej budzić gniew...

— Zegnam pana... Już muszę iść...

Stobiński ułkonił się w milczeniu i ku wielkiej radości Józii nie narzucał jej wcale swego towarzystwa.

Wolał szpiegować ją z oddali niespostrzeżony.

— — — — —

Józia po raz pierwszy była w Zakopanem, a o piękności tej „perły” Tatr słyszała i czytała dużo. Chociaż nie usposobiona do zaczuwania się cudami przyrody, jednak z mimowolną ciekawością rozglądała się wokoło, idąc naprzód Ciaramcówkami, a potem ulicą Marszałkowską.

Szukała wzrokiem gór, ale napróżno.

Kapryśne Zakopane niegłęboko ją przyjęło. Deszcz nie padał wprawdzie, ale szara, gęsta mgła mgliła osłoniła doszczętnie góry.

Józia nie widziała nic, prócz kłębow mgły, błot, smutnych, zczerniałych, teraz szronem ściętych łąk i wili cichych, snąc we śnie jeszcze pograżonych.

Dotkliwie zimno dawało się porządnie we znaki: dziewczynie, nie oswojonej z górskim porannym chłodem i nieodpowiednio ubranej.

Józii kostniały ręce w skórkowych rękawiczkach, marzły jej palce u nóg w cienkich bucikach. Mroźny powiew wiatru szydził sobie z płaszczyka na cienkiej podszewce i smagał poprzez woalkę delikatną twarz.

Zziębnięta, postanowiła wejść do kawiarni Przanowskiego, która była już otwarta.

I tak godzina była zbyt wczesna na odwiedzinę, a pusty żołądek domagał się jakiegoś pożywienia i szklanki gorącego napoju.

Przez werandę weszła do sali i usiadła w najciemniejszym kącie. Nie chciała sięgać na siebie ciekawych spojrzeń, a nie była jedynym gościem w kawiarni. Pomimo porannej pory, kilka stolików było zajętych. Ponieważ na kawę trzeba było czekać, więc wzięła Józia do ręki leżący obok „Czas”. Oglądając w ten sposób twarz wielką płachtą dziennika, udawała, że czyta...

Nie widziała też, że do sali wszedł Stobiński i usadowił się w ten sposób, aby mógł obserwować Józję nieznacznie, bez zwrócenia jej uwagi na siebie. Miał też dowód oczywisty, że kłamała. Gdyby przyjechała do jakiejś tam kuzynki, nie siedziałaby w tej chwili w kawiarni, nie udawałaby, że czyta „Czas”.

— W tem tkwi jakaś gruba awantura — zdecydował, rozcierając zziębnięte ręce.

Ze smakiem jadł śniadanie, nie odwracał jednakże wzroku od Józii... Widział, że Józia odłożyła gazetę i z taką poządlwością zaczęła pić gorącą kawę, przegrzając biszkoptową babką, jakby była zagłodzona.

Kiedy się nasyciła, oparła się plecami o poręcz kanapy i trwała bez ruchu. Mgłoby się zdawać, że drzemie, gdyby nie to, że co jakiś czas sięgała po zegarek.

Kiedy ścienny zegar wybił godzinę pół do dziewiętej, zerwała się, zapłaciła i wyszła.

— — — — —

W cienistej, smutnej od ciemnych świerków ulicy przytało się małe, prywatne sanatorium, którego adres podał Józii Żarnicki.

Dziewczyna odzukała je z łatwością i teraz stała u drzwi wchodowych, drżąc i niepewna... Długą chwilę wahała się, zanim zdecydowała się zadzwonić. Drzwi otworzyła jej młoda, przystojna służąca w ciemnej sukni, białym fartuchu i białym motylku we włosach.

— Czego pani sobie życzy?

(Dalej ciąg nastąpi.)